

Unia interesów czy interes Unii

Wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego będą miały dla nas jakieś znaczenie, o ile nie wejdzie w życie Traktat Lizboński. Zanikną wtedy nawet pozory walki politycznej o liczbę mandatów w Brukseli, a głosy wołające o reformę Unii Europejskiej, które od czasu do czasu przebijały w kampanii, zupełnie umilkną. By oczywiście z czasem z jeszcze większą siłą wybuchnąć. Pod rządami Traktu Lizbońskiego utrwali się i tak już mocna pozycja głównych, starych krajów Unii Europejskiej na czele z Niemcami.

Kampania w Polsce od samego początku przybrała postać plebiscytu wśród partii politycznych. Te bowiem, kiedy zorientowały się, że silna pozycja w wyborach do Parlamentu Europejskiego może przełożyć się na przyszłą większą popularność ich partii w kraju, zaczęły wstawiać na listy wyborcze osoby o najbardziej popularnych nazwiskach. Na pierwszych miejscach specjalnie umieszczono osoby wyraziste, charakterystyczne dla programów i linii politycznej swoich partii. Można było odnieść wrażenie, że cała polska klasa polityczna, od lewa do prawa, nagle zapragnęła przenieść się na pięć lat do Brukseli, zostawiając za sobą polskie niedokończone problemy, którymi z takim poświęceniem zajmowała się przez lata. Wszyscy nagle poczuli się kompetentni i właściwi do reprezentowania Polski w unijnej instytucji. Jedynie poseł Zbigniew Ziobro miał silnie uzasadnioną motywację do startu w wyborach. Dla niego to przede wszystkim

ucieczka do Brukseli przed prześladowaniami polskiego wymiaru sprawiedliwości, który kiedyś nadzorował.

Wyścig o miejsca w Parlamencie Europejskim przerodził się w swoiste prawybory parlamentarne w Polsce, choć dziela nas do nich jeszcze dwa lata. Nikt nie chce być gorszy, każdy chce czuć się zwycięzcą.

Ale znacznie ciekawsza od wyników wyborów do Parlamentu Europejskiego wydaje się sama kampania wyborcza, która wniosła do naszej wiedzy o UE znacznie więcej niż w 2004 roku, kiedy to następowała akcesja Polski do wspólnoty z udziałem większości zadeklarowanych zwolenników Brukseli, a kampanię na „tak” finansowała oczywiście Unia Europejska. Ta nowa wiedza to głównie zasługa tych posłów europejskich, którzy stanęli do wyborów po raz drugi. W odróżnieniu od nowicjuszy nie obiecywali, co załatwią w Unii Europejskiej dla Polski, tylko jak silne będą tworzyć europejskie sojusze, bo tylko one ponoć pozwalają coś istotnego dla Polski „załatwić”. Okazuje się, że w tej demokratycznej strukturze pojedynczy europoseł niewiele może zdziałać. Jest skazany na swoją frakcję parlamentarną, która w drodze większościowego głosowania podejmuje uchwały, w tym, jak głosować, ale sprawy, jakimi się zajmuje grupa parlamentarna, nie mają nic wspólnego z decyzjami Unii. Podejmowanie decyzji zastrzeżone jest dla Komisji Europejskiej, która kieruje na co dzień Unią. Posłowie otrzymują jedynie gotowe dokumenty do zaopiniowania. Poseł może się oczywiście nie zgadzać, interpelować, zabierać głos w

dyskusji plenarnej, nawet protestować, ale sam nic nie może zrobić. Zresztą nawet jeśli będzie mówił zbyt długo, nie po myśli większości, to można mu wyłączyć mikrofon, co zdarzało się już wielokrotnie. Mechanizm działania Parlamentu Europejskiego jest tak skonstruowany, aby eliminować pojawianie się na europejskim forum spraw i interesów mających ścisły związek z interesem narodowym. To dlatego posłowie Platformy Obywatelskiej zrzeszeni w największej frakcji parlamentarnej, czyli Europejskiej Partii Ludowej, będąc zobowiązani dyscypliną głosowania, musieli wystąpić przeciwko ustanowieniu 25 maja (rocznica śmierci rotmistrza Witolda Pileckiego) Europejskim Dniem Bohaterów Walki z Totalitaryzmem. Niemiecka większość tej frakcji przegłosowała Polaków i nasi musieli zagłosować przeciw. Nie mieli nic do powiedzenia. Nie przeszkadzało to jednak Platformie w swoich spotkach reklamowych chwalić się obecnością w najsilniejszej frakcji parlamentarnej UE i wytykać europosłom PiS-u przynależność do mało licznej frakcji, pozbawionej większego znaczenia. Ta grupa parlamentarna nosi nazwę Unia Europy na rzecz Narodów. Pewnie dlatego jej rola jest Brukseli marginalizowana. Z tego względu znaczenia nabrało warszawskie spotkanie Prawa i Sprawiedliwości z liderami brytyjskich konserwatystów i czeskiej ODS w celu zawiązania, jeszcze przed wyborami, nowej konserwatywnej frakcji parlamentarnej. Nowa frakcja chce zająć trzecią pozycję w Parlamencie, w miejsce liberałów, po najsilniejszej frakcji chadeckiej (zdominowanej

przez Niemców) i socjalistach. Ale i na te plany Unia ma już wypracowaną regulaminową odpowiedź. By zaistniała nowa grupa parlamentarna, wymagane jest wspólne zawiązanie się aż siedmiu partii politycznych z siedmiu krajów członkowskich. Dopiero wtedy nowa frakcja może liczyć na unijne finansowanie.

Czym różniły się wybory parlamentarne w Niemczech od naszych?

W Polsce prawie wszystkie partie polityczne, z wyjątkiem postkomunistów i tej partii, którą pośpiesznie zawiązała dla siebie prof. Magdalena Środa, szły do wyborów pod hasłem: więcej dla Polski w Unii Europejskiej. W Niemczech tymczasem podkreślano potrzebę silnej Europy pod rządami Traktatu Lizbońskiego. I nic dziwnego, bo Traktat w obecnej postaci zapewnia dominację Niemcom. I na tym właśnie polega niemiecki interes narodowy.

Wojciech Reszczyński

„Nasza Polska” 09.06.09